

Spadochron

26 sierpnia 2016

Lotnictwo fascynowało mnie od dziecka. Pierwszy samolot ujrzałem będąc jeszcze brzdącem w Ostrołęce. Leciał sobie z południowego zachodu wzdłuż Narwi i nim zniknął za horyzontem trwało to wiele minut. To był dwupłatowy „kukuruźnik”, któremu niepotrzebne było prawdziwe lotnisko. Mógł wystartować z każdej, w miarę równej łąki. Później, co jakiś czas, gdy usłyszałem charakterystyczny odgłos silnika, biegłem co sił w nogach nad brzeg rzeki, by móc jak najdłużej oglądać powietrzną maszynę. Dla mnie nie było nic wspanialszego w znanym dotychczas świecie.

Samolot nie latał codziennie. Może raz albo dwa w tygodniu, a ja zawsze na brzegu Narwi witałem go machając rękoma i wrzeszcząc coś do pilota. Byłem przekonany, że mnie słyszy. Starsi chłopcy naśmiewali się ze mnie. Tłumaczyli, że huk silnika jest tak duży, iż pilot nawet ze swoim pasażerem może porozumieć się tylko przez radio. Ale te tłumaczenia nie trafiały do mnie.

Minęły dwa, może trzy miesiące, aż któregoś letniego słonecznego dnia pilot zniżył lot i zobaczyłem jak i on macha ręką. To dopiero była radość! Po raz pierwszy w życiu poznałem uczucie dumy. Od tej pory lotnik prawie zawsze robił to samo. Poczułem, że mam prawdziwego przyjaciela, bohatera przestworzy, który lecąc gdzieś daleko, pozdrawia mnie serdecznie.

Nadeszła jesień. Coraz częściej nad rzeką snuły się mgły, a niebo zakryte było chmurami. Wreszcie któregoś słonecznego dnia znowu wybiegłem na odgłos znajomego dźwięku. Machałem rękoma, krzyczałem. W pewnym momencie zauważyłem, że pilot coś wyrzucił. Zawiniątko leciało w moją stronę najpierw jak kamień, później rozwinęła się biała chusta i kołysząc się lekko osiadła na ziemi. Do miniaturowego spadochronu

przywiązana była papierowa torba. Taka zwykła, szara torebka, jakie były wtedy w sklepach, a w środku zielone cukierki. Miętowe. Jednak zanim zajrzałem co jest w torebce, patrzyłem jak zahipnotyzowany z uśmiechem wielkiej radości za oddalającą się maszyną, którą kierował mój nieznajomy, ale jakże bliski przyjaciel i która unosiła się coraz wyżej i wyżej, aż mały punkcik zlał się z lekką mgiełką i tylko po cichym brzęczeniu motoru wiedziałem, że jest tam gdzieś w przestworzach. Jakże byłem wtedy szczęśliwy...

Później samolot przeleciał tą samą drogą jeszcze dwa, może trzy razy i nie zobaczyłem go więcej. Czy tęskniłem? – nie pamiętam. Ale ten nieznany pilot drobnym gestem, ale jakże wielkim zarazem, rozпалиł w małym chłopcu wspaniałą namiętność: miłość do lotnictwa. Miłość na całe życie.

Następnego lata byłem już warszawiakiem. No, takim prawie. Teraz codziennie widywałem dużo samolotów. To były wielkie pasażerskie maszyny, które majestatycznie podchodziły do lądowania na Okęcie. Nie były tak romantyczne jak stare aeroplany czy małe zwinne myśliwce, to jednak przyglądałem się im z nadzieją, że kiedyś sam zasiądę za sterami takiej maszyny.

A może by tak samemu zrobić spadochron? Do dzisiaj rodzina wypomina mi, że zepsułem ojcu największy parasol. Należy jednak pamiętać, że czasem wielkie dzieło tworzenia musi poprzedzić dzieło zniszczenia. Tak więc po usunięciu zbytecznych drutów i zupełnie niepotrzebnej drewnianej rączki, otrzymałem wspaniałą czaszę, do której przyszyłem linki będące wcześniej sznurem do bielizny. Jako obciążenie posłużył kawałek dziurawej cegły. Wszedłem na balkon, rzuciłem do góry i czasza rozwinęła się, opadając łagodnie na trawę. Spadochron działał bez zarzutu, ale czegoś mi brakowało. Ceglany obciążnik to przecież nie spadochroniarz! Po domu pałętał się dorastający kociak Sonio. Były też inne koty, ale waga Sonia była zbliżona do kawałka cegły. Przeto rozebrałem lalkę swojej siostry z serdaczka i nałożyłem kotu. Pasował. Po związaniu

linek i przeciągnięciu pod serdaczką Sonio został spadochroniarzem. Pierwszy skok bywa szokiem dla skoczków, toteż nie dziwota, że Sonio nawiewał przerażony, drąc pazurami murawę na zakrętach. Jednakże dezercję miał utrudnioną. Nie mógł biedak rozwinąć większej prędkości, gdyż czasza otwierała się zwalniając rejteradę. Zresztą ucieczka była daremna, bowiem spadochron zawsze o coś zaczepiał i kilka minut później kociak ponownie tęsknił za twardym gruntem pod łapami. Być może Sonio zdobyłby sławę, może zostałby kotem cyrkowym, ale nie chciał zrozumieć, że trening wymaga poświęceń. Jego częste ucieczki do sąsiadki na działkę ogrodzoną drutem kolczastym spowodowały, że czasza spadochronu uległa podarciu i dalsze skoki stały się niebezpieczne. Sonio gieroj, a ja?

Ja miałem za daleko do aeroklubu i nikt nie chciał mi pomóc, bym mógł rozwijać swoją pasję. Szkoda.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Patriota-Tarkowski.blogspot.com